

„Mąż i żona” jest jedną spośród komedii Fredry, przeznaczoną wyłącznie dla publiczności dorosłej. Niewiele w niej z właściwych temu autorowi sarmackich poczciwości. Bo i drapieżność jego zazwyczaj poczciwa, sarmacka. Dopuszcza ona ostre widzenie ludzkich wad, ale je potępia jednoznacznie. Fredrowski przewód komediowy na tym właśnie polega, że demaskując owe wady wśród zabawnych obrótów akcji, daje nauczkę opanowanym przez nie figurom: piętnuje je, gdy w grzechach zatwardziały, przebacza im z rzewnym uśmiechem, gdy przejrzały.

Inaczej w „Mężu i żonie”. Jest to komedia o wielkim miętoszeniu w kwartecie. Kochanek w mundurze miętoszy żonę hrabiego, hrabia miętoszy pokojówkę, kochanek w mundurze też miętoszy pokojówkę, która raz dla namiętności, raz dla interesu poddaje się umizgom obydwu. Hrabina przyjaźni się z pokojówką, hrabia z kochankiem żony — zainteresowani, nic o tym nie wiedząc, mają powierników zainteresowanych. Więc nie tylko wiarołomstwo w miłości, także wiarołomstwo w przyjaźni. W finale oodza się ze sobą znudzeni i poważnieni małżonkowie. Lecz zgoda to problematyczna. Słusznie czyni reżuser, gdy po scenie opodu rzuca na szubie cięń męzczyzny w pierogu. Z tej miłos-

Liber- tynizm spoczczi — wiały

nej geometrii nie ma wyjścia. I wszystko zaczyna się od nowa.

„Mąż i żona” jest więc, jakby powiedziano, komedią cyniczną. Przedstawione w niej słabości ludzkie należą do nieuleczalnych — i dość są urokliwe. Z amancikiem, przebijającym nóżkami z pożądania, jest u nas jak z pijakiem: nie odstręcza, lecz śmiesz, a w śmiechu tym jest coś z przychylności. Eros łamie bariery związków małżeńskich; przekracza granice stanów. Za czasów Fredry a i później jeszcze, rewolucyjnie to dzieło. twór salonowego hedonizmu, drażnić musiało poczucie przyzwoitości. Oto kulisy nobliwego mariażu ludzi z towarzystwa. Wyobrażam sobie, jak musiały redgować lwowskie hrabiny na widok swej scenicznej siostry, która intrzyki miłosne maskuje retoryką religijną. Na domiar zwastkiego państwa z towarzystwa, oficer i hrabia, nad panią

przenoszą wdzięki jej pokojówki. Był w tym zapewne libertyński ton nieposzanowania dla tego, co szacowne.

Czy „Mąż i żona” pozostała komedią libertyńską — do dziś? Obawiam się, że komedia ta mocno spoczcziwała. Rzeczywistość zdystansowała Fredrę. Co dla niego było szokującym paradoksem obyczajów i natury ludzkiej, dla nas jest chlebem powszednim. Obluda, znalazłszy dla siebie bardziej ważne tereny działania, wycofała się ze sfery obyczajów miłosnego. Stał się on bardzo szczerzy — zbyt szczerzy, być może. Wychodzimy z założenia, że człowiek iść winien za popędem swej natury, a barier stanowych raczej nie uznajemy: bo człowiekowi się należy, i wszyscy są równi. Rozkład więzi rodzinnej — powładają socjologowie. Demaskować kulisy współczesnego małżeństwa? Co niegdyś było kulisami, dziś jest sceną samą. Zdrada erotyczna — w mniemaniu ogółu — coraz mniej kompromituje; zwłaszcza tego, kto zdradza. Konwenans coraz mniej staje na zawadzie instynktowi. Może więc „Mąż i żona” nie jest komedią libertyńską, lecz komedią postępową w sposób bardziej bezpośredni? Tokującego oficera i tokującego hrabiego, tokująca hrabina i tokująca pokojówka — to po prostu bojownicy, walczący w imię swobody obywatelskiej przeciw feudalnemu konwenansowi?

Współcześnie
Flakha
w 18
1963

Zart i artem, lecz sądzę, że gdyby tak — z intencją rewolucyjnej apologetyki bohaterów — zagrać „Męża i żonę”, liberytynizm tej sztuki, zostałby, być może, ocalony na dziś. A może należało owo wielkie, na wiek dziewiętnasty, miętoszenie, wyobraźnię tak, by sprostało absurdalnie spotwornilo — rzeczywiste miętoszenie wieku dwudziestego? Nie wiem. W każdym razie coś należało uczynić, nie bowiem prowokacyjnie pieprznego na scenie się nie działo. I nuda zastąpiła pikanterię. Cenię Bohdana Korzenińskiego za owe jady i rewolucyjności, jakie wnoszą do prostodusznego naszego teatru. Tym razem jednak zamiast bani z jadem, rozbił nad naszymi głowami banię z cieczą mniejszej mocy.

Wykonanie? Nie przynosi ono chluby aktorom. Duża część tekstu, mówionego potocznie i szybko, przy brakach dykcji nie docierała do widzów. Trzeba być aż Marią Malicką, by mówić zrozumiale. Nie dostawało przedstawieniu atmosfery sercu; pokazano nam erotyzm nie z mięsa, lecz z papieru. Umizgi i szczypanie czyniono konwencjonalnie, jak się całuje w operze. Tym razem inwencja w zakresie pikanterii opuściła nawet takich speców w tym zakresie, jak scenografowie Skarżyńscy. Czyż bohaterowie „Męża i żony” po to dogadzali zmysłom, by prezentować konwencje obyczajowe swej epoki?

Teatr im. J. Słowackiego. A. Fredro: Mąż i żona. Reż. B. Korzeniowski. Scenogr. L. Minticz i J. Skarżyński. Opr. muz. F. Barfuss